

Andrij Lubka

Twoje spojrzenie,

Cio-Cio-San



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza

Т В І Й П О Г Л Я Д ,
Ч Ю Ч Ю С А С Н

Andrij Lubka

Twoje spojrzenie, Cio-Cio-San

Przełożył Bohdan Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2020

I

Tego grudniowego wieczora musiała na Użhorod opaść mgła i pijany sędzia za kierownicą BMW x5 musiał pędzić śliską jezdnią ulicy Hruszewskiego, wpatrując się w ekran swego telefonu, i nie zauważyć, nie zareagować, nie zahamować, a dwiema tonami czarnego metalu uderzyć w 52 kruche kilogramy mojej żony, i ona musiała wzbić się w powietrze, padając na asfalt już martwa, i musiała zadziałać przekłeta niemiecka poduszka powietrzna, ratując kierowcę, żeby w moim życiu, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, pojawił się wreszcie prawdziwy cel.

Zabić – to nie jest zupełnie oczywista misja dla człowieka, który ma wszystkie klepki w głowie. Należałoby zwyciężyć mądrością, argumentami, dowieść w sądzie swojej racji, tym samym zmuszając leniwą sprawiedliwość, by zdjęła opaskę z oczu i ścięła winnego mieczem. Ale przyszło mi się urodzić i żyć w kraju, gdzie Temida przywykła posługiwać się wagą do kosztowności, a nie mieczem. Czyż więc możliwe jest, wybaczyć tę oksymoroniczną tautologię, dowieść w sądzie winy sędziego? Dlatego, chociaż miałem całkiem inne plany na resztę mojego życia, przyszło mi poświęcić się ważniejszej sprawie. Zemście. Przecież jeśli praworządność nie funkcjonuje, gra wraca do pierwotnego poziomu: oko za oko, życie za życie. Sędzia Mykoła Zinczenko odebrał życie mojej Raluce, zatem teraz ja zabiorę jego życie. Nie jego żony czy córki, bo, jak mówił bohater mojego ulubionego filmu, „z wyjątkiem kobiet i dzieci”, ale życie samego zabójcy. I wtedy będziemy kwita. Tylko tak niewinna Raluca może zostać pomszczona.

Ona, być może, miała rację, kiedy wahała się, czy warto nam przeprowadzać się do Użhorodu. Dopiero skończyliśmy studia na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy niezłe perspektywy urzędzenia się w pracy, potrzebne znajomości i nawet jako taką zawodową reputację, ale ja nie chciałem

zostawać w Polsce. Raluca nie spieszyło się do powrotu do rodzinnej Rumunii. W końcu udało mi się przekonać dziewczynę, żebyśmy pojechali na Ukrainę, która po rewolucji i rosyjskiej agresji nie wydawała się miejscem idealnym dla szczęśliwego zamożnego życia, ale zdawała się pełna nadziei i szans. Nasi przyjaciele spoglądali na nas wzrokiem, w którym podziw łączył się ze zdumieniem. No cóż, to było przynajmniej romantyczne: młoda para jedzie żyć w kraju, który prowadzi wojnę przeciw kilka razy większemu imperium. Teraz już mogę podsumować: to była pomyłka.

Wtedy jednak wydawało się, że kraj potrzebuje młodych ambitnych ludzi z zachodnimi dyplomami, więc przed nami powinny otwierać się wszystkie drzwi. Na uniwersytecie zdobyłem dyplom analityka i własne rozumowanie wydawało mi się bez zarzutu: przyjeżdżamy na Ukrainę, robimy tam karierę, kraj szybko się reformuje i bogaci, a nasze życie staje się szczęśliwe i spokojne. Logika *a contrario*: kiedy wszyscy uciekają ze statku, to właśnie jest czas na powrót, żeby bez trudu zostać kapitanem. Wtedy od roku już pracowałem na odległość w pewnej pozarządowej organizacji, która buńczucznie nazywała się Instytutem Polityki Światowej; pisałem dla nich materiały analityczne o Rumunii i Bałkanach, honoraria nie były oszałamiające, ale przyzwoite, i planowałem utworzyć filię tego instytutu w Użhorodzie, zajmować się programami grantowymi, organizować konferencje i okrągłe stoły, spokojnie pracować i żyć sobie radośnie. Raluca mogłaby pracować razem ze mną, bo kto lepiej zna się na Rumunii niż Rumunka, a gdyby chciała, mogła wykładać dodatkowo rumuński: jeszcze z tych czasów, kiedy zdobywałem pierwszy dyplom na uniwersytecie w Użhorodzie, zostały mi kontakty na wydziale języków obcych.

Po Warszawie Raluca chciała mieszkać w wielkim mieście, kilka razy wspominała o Kijowie, ale ja zdecydowanie odcinałem się od takich pomysłów: nie podobało mi się ani

samo miasto, ani mieszkanie w nim. Użhorod natomiast wydawał się idealny. Niewielkie, zaciszne, piękne, ekologicznie czyste miasteczko, z którego jak na wyciągnięcie ręki do dwunastu europejskich stolic jest bliżej niż do Kijowa. Nie najmniejszy wpływ na moje postanowienie miał fakt, że w Kijowie przysłoby mi stać się częścią cudzego zespołu, pracować na kogoś, a w Użhorodzie miałem perspektywę, żeby samemu zostać kierownikiem niewielkiej, ale prawie niezależnej organizacji. Dla Raluki argumentem stało się to, że Zakarpacie graniczy z Rumunią, więc można tam jeździć od czasu do czasu. Nie do rodziny, która sprawiała jej problemy, ale po prostu do ojczyzny: bardziej z tęsknoty za rumuńską kuchnią, pewnymi produktami, muzyką, możliwością kupienia rumuńskich książek i prasy niż za własnym domem, matką i podłym ojczymem. Dużo ważniejszy od tych teoretycznych argumentów był aspekt praktyczny: w Użhorodzie miałem własne mieszkanie, w którym mogliśmy zamieszkać.

Lepiej być pierwszym na prowincji niż drugim w Rzymie – taka fraza przypomniała mi się tamtej głupiej nocy, kiedy przyjechaliśmy do Użhorodu i nie rozpakowując rzeczy, śmiertelnie zmęczeni drogą i długim czekaniem na granicy, położyliśmy się spać. Raluca równomiernie posapywała u mnie na ramieniu, ja byłem zbyt podniecony, żeby zamknąć powieki. Wciąż myślałem o przyszłości, która zaczynała się od jutrzejszego ranka, o planach, wyzwaniach, zadaniach. Marzyłem – trochę z lękiem, ale głównie z zapałem młodego człowieka, który pragnie sukcesów; który długo się uczył, codziennie wyobrażając sobie ten dzień, kiedy będzie można wreszcie odrzucić jak najdalej podręczniki i zacząć dorosłe życie. W którym wszystko zależy wyłącznie od ciebie. Takie myśli odganiały ode mnie sen, kręciłem się podekscytowany w łóżku, mój niepokój udzielił się Raluce, która w ciemności jakby poczuła moje pobudzenie i powiedziała cicho:

- Marku, wszystko u nas będzie dobrze, będziemy tu szczęśliwi, prawda?

Wtedy dotknęła ostrożnie swymi ciepłymi miękkimi ustami moich pleców. Umiała uspokajać - i wiedziała, że czasami mnie, cholerykowi, bardzo jest to potrzebne. Mówiła, że dlatego jestem taki niecierpliwy, bo wyrosłem bez braci i sióstr. Czyli z nadmiaru uwagi i troski. Co do tego się myliła, bo, z ręką na sercu, nigdy nie czułem się naprawdę kochany; tak jakby rodzice mieli obowiązek mnie wychować, skoro mnie urodzili. Nic więcej. I ja ich nie kochałem, raczej szanowałem i byłem wdzięczny. W ogóle nie umiałem kochać i nie wierzyłem w miłość, póki nie spotkałem Raluki. To ona mnie otworzyła, nauczyła.

Rodzice jednak mieli co do mnie pewne oczekiwania. A kiedy te się nie spełniły, zrobili się względem syna jeszcze bardziej chłodni. Ojciec widział we mnie wojskowego czy inżyniera, a mnie coś takiego nigdy nie interesowało i tylko obojętnie spoglądałem na nowe samochodziki i automaty, które przynosił mi jakoby Mikołaj. Mama marzyła, że zostanę śpiewakiem czy choćby jakimś znanym artystą. Dlatego szczęśliwie się uśmiechała tylko wtedy, kiedy widziała, jak biorę jej suszarkę do włosów i śpiewam do niej przed lustrem jak do mikrofonu. Jakby chciała we mnie zrealizować swoje stracone możliwości, nie uświadamiając sobie, że przeszczepianie dziecku własnych marzeń, zmuszanie go, by nie było sobą - to rodzaj znęcania się. Ale - na szczęście? - nie miałem głosu, nie przyjęli mnie nawet do szkolnego chóru. Aż do wieku dojrzewania mama żywiła nadzieję na to, że mój głos się zmieni i nabierze przyjemnej barwy, ale stało się na odwrót. Malowanie i granie na instrumentach też mi nie wychodziło. Do tego doszły pewne kłopoty z moim zdrowiem, które nawet zmusiły rodzinę do przeprowadzki z Sołotwina do Użhorodu i ojcowska miłość prawie ostatecznie zgasła. Ale ja także przez to zgorzkniałem: nie spełniwszy cudzych

oczekiwań, rozczarowałem się do siebie. Potrzebne jeszcze były długie lata, żeby potem odbudować wiarę we własne siły.

Być może talentów mi zabrakło, ale byłem mądry. Nie we wszystkim: algebra i chemia kulały, ale na historii, geografii, prawoznawstwie i literaturze znałem się dobrze, łatwo uczyłem się języków. To, co mnie interesowało, bez żadnych wysiłków i wkuwania odkładało się w pamięci. A do pewnych rzeczy nawet sam się dokopywałem: wcześniej ujawniła się we mnie zdolność do uogólniania i zestawiania, porównywania, odsiewania. Umiałem myśleć, wyciągać wnioski, budować hipotezy i prognozy. Lubiłem czytać, niejedną baterię zużyłem w latarce, późno w nocy przewracając pod kołdrą kartki zajmującej książki. Nauczyłem się dobrze mówić i pięknie pisać, ale nie tak, żeby forma przesłaniała treść; sens zawsze był dla mnie ważniejszy.

Te zasiane przez marzenia mamy kompleksy dały mi się we znaki – i kiedy przyszedł czas wyboru kierunku studiów, poszedłem nie na historię, ale na filologię obcą. Zdawało mi się, że to bardziej twórcze zajęcie. Marzyłem, że w przyszłości będę przekładał książki. Konkurencja na filologii angielskiej, francuskiej czy niemieckiej była zbyt wielka, a sytuacja finansowa mojej rodziny nie pozwalała wiązać nadziei z dostaniem się na studia za łapówkę, wybrałem więc mniej prestiżowy język i literaturę rumuńską. Po pierwsze, to rumuński podobny jest do francuskiego i włoskiego. Znając rumuński, porozumiesz się w Paryżu i w Rzymie. Po drugie, jest egzotyczny, mało kto nim włada, więc i na rynku pracy będzie na niego zapotrzebowanie. W końcu, po trzecie, Rumunia była pod bokiem, jakieś sto kilometrów od Użhorodu i to otwierało możliwości podróży, kontaktów i studenckich programów wymiany. No i rumuński trochę znałem: liznałem go w Sołotwinie od dzieci sąsiadów i to wraz z kilkumiesięcznymi zajęciami okazało się wystarczające, by dostać się na kierunek, na który zawsze brakowało chętnych.

Ukończywszy Uniwersytet Użhorodzki z wyróżnieniem, długo nie mogłem znaleźć pracy. Dorabiałem dziennikarstwem na miejskim portalu, wysyłając z domu wiadomości; w czasie kampanii wyborczej pracowałem w dziale propagandy pewnej partii; próbowałem sił jako menedżer zasobów ludzkich w fabryce kabli samochodowych. Pracy w zawodzie nie było ani w katedrze na uczelni, ani w ogóle w Użhorodzie. Proponowano mi pracę w zabitych deskami górskich wsiach przy rumuńskiej granicy, ale nie chciałem być nauczycielem. Nie mówiąc już o tym, że do dzieci brakowało mi nerwów.

Wszystko to podkuśiło mnie, by przenieść się do Kijowa, gdzie dalej pracowałem nie w swoim zawodzie, ale przynajmniej zarabiałem więcej. Dla samego siebie przekładałem z rumuńskiego powieść Mircei Cărtărescu; długo męczyłem się, starałem, szukałem odpowiedniego stylu, żonglowałem synonimami, a kiedy po dwóch latach pracy w końcu pokażalem tekst wydawcy, ten stwierdził, że może to wydać, ale nie zapłaci mi honorarium. To znaczy, rumuńskiej literatury nikt nie czyta, więc on na tej książce nic nie zarobi. Ale może wydać, żeby wesprzeć mnie moralnie; pracę zrobiłem dobrze i zasługuję na swoje piętnaście minut sławy i nazwisko w stopce książki. Zgodziłem się z entuzjazmem, książka wyszła, ale i tak nie ukazała się żadna jej recenzja. Więcej literatury pięknej nie przekładałem.

Już wówczas bowiem zrozumiałem, że interesują mnie jednak rzeczy poważniejsze. Polityka, historia, stosunki międzynarodowe – oto co było moją prawdziwą namiętnością, a nie żadna tam wyszukana literatura. Do tego nie nawidziłem przecież swojego życia w Kijowie, a i samego miasta, więc kiedy tylko zdarzyła się okazja, by stamtąd czmychnąć, od razu dałem drapaką. Okazja zdawała się znakomita: pewien znajomy przysłał mi link do Instytutu Studiów Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie przyjmowano na studia magisterskie ludzi, którzy już

skończyli studia wyższe w swoich krajach. Fach proponowali dość rzadki – regionoznawstwo Europy Środkowo-Wschodniej. Czyli przygotowywali dyplomatów, rządowych analityków i ekspertów z obszaru między Niemcami a Rosją. Kiedy wśród specjalności zobaczyłem bałkanistykę, nie miałem już wątpliwości: spróbuję. Pochodzący z krajów dawnego Związku Sowieckiego otrzymywali polskie stypendium i to jeszcze bardziej wzmocniło moje pragnienie, by znów zostać studentem. Zebrałem dokumenty, zdałem egzaminy i odbyłem rozmowę, po czym pewnego majowego poranka na mój e-mail przyszedł list z gratulacjami. Tak trafiłem na Uniwersytet Warszawski, gdzie też poznałem Ralukę.

Moje poszukiwania siebie w tym świecie, różnorodne prace i pólatały pochłonęły mi parę lat, nic więc dziwnego, że w nowym instytucie okazałem się najstarszym studentem: w tamtym momencie skończyłem już 25 lat, wszyscy koledzy z roku byli o trzy, cztery lata młodszy. To mi nie przeszkadzało – przeciwnie, cieszyłem się ze swej pozycji, bo wreszcie zacząłem odczuwać zadowolenie z tego, czym się zajmuję i czego się uczę. Szkolne kompleksy związane z brakiem talentu zostały z tyłu, a imając się różnych dorywczych prac, zdobyłem pewne doświadczenie, które pozwalało mi pośród młodszych kolegów czuć się pełnoprawnym liderem. W Warszawie zaczął się jasny okres mojego życia.

A skończył się on raz na zawsze tamtego grudniowego wieczora, kiedy Mykoła Zinczenko potracił śmiertelnie Ralukę na przejściu dla pieszych w Użhorodzie. Ile on trwał, ten jasny, a po części i szczęśliwy, okres? Prawie trzy lata. No cóż, dziękuję i za to. To były najpiękniejsze trzy lata mojego życia. I obecność w nich Raluki dawała pewną nadzieję na to, że moja przyszłość też będzie jasna.

Ale już nie będzie.

A wszystko przez tego wyrodka, stróża prawa, któremu prawa nie są pisane. Raluca nie bardzo chciała przenosić

się do Użhorodu – i w końcu okazało się, że miała rację. To miasto ją zabiło. Ten kraj ją zabił. Państwo, w którym sędzia może pijany pędzić nocnymi ulicami, zabić przechodnia swoim wielkim jak karawan autem, kupionym za krwawe łapówkarskie pieniądze, i po tym uniknąć kary. Lekko i niewymuszenie tworząc to, co w kodeksie karnym nazywa się wzajemnym kryciem, uruchomić wszystkie swoje powiązania: policję, która na miejscu zbrodni nawet nie nałożyła temu solidnemu i wpływowemu zabójcy kajdanek; toksykologów, którzy robili test i doszli do wniosku, że procent alkoholu we krwi sędziego wcale nie jest taki wysoki; śledczych, którzy ustalili, że wypadek zdarzył się jakoby nie na przejściu dla pieszych, ale jedenaście metrów od niego, winną zrobiwszy kruchą przechodzącą, a nie pijanego wyrodka za kierownicą; fałszywych świadków, którzy za pieniądze opowiadali bajki o tym, że Raluca sama wbiegła na jezdnię; prokuratorów, którym prawdami i nieprawdami udało się oczyścić zabójcę od poważnego oskarżenia; kolegów sędziów, którzy w imieniu Ukrainy odebrali zabójcy prawo jazdy – oto i cała surowość kary; dziennikarzy lokalnych mediów, którym właściciele i redaktorzy prowadzący kazali nie rozwijać tematu i nie dyskredytować sędziego, który jeszcze może się okazać pożyteczny w tym małym żmijowisku łajdaków i przestępców.

Raluca odeszła, a na sprawiedliwość trzeba było czekać. Dlatego postanowiłem zemścić się sam. Bez Raluki i tak nie miałem przyszłości, więc jeśli sędzia nie trafił za kraty, to ja trafię do więzienia, ale on wtedy nie będzie żył.

Uświadomienie sobie tego faktu, swojego przeznaczenia przyszło do mnie nie natychmiast, ale bardzo szybko. Najpierw, tuż po otrzymaniu wiadomości o wypadku (wtedy po prostu powiedzieli mi, żebym przyjechał do szpitala, o szczegółach nie informowali), pogubiłem się. Nie wiedziałem, jak zachować się w takiej sytuacji. Siedziałem przy komputerze z otwartymi ustami, trzymając w ręce komórkę, puls mi

przyspieszył, powietrza brakowało, a ciało się mnie nie słuchało. Zamarło. Nie mogłem podnieść się z krzesła. Po chwili, dwóch, oprzytomniawszy, zacząłem biegać po mieszkaniu, bezładnie otwierać szafy i szafki, ale nie wiedziałem, za co chwycić. „Zna pan Ralukę? To ktoś bliski? Proszę szybko przyjechać do miejskiego szpitala, miała wypadek” – tak powiedział mi głos w słuchawce, nawet nie zanotowałem, czy był kobiecy czy męski – w skroniach głośno mi waliło, wszystko leciało z rąk. Co wieźć? Kaptcie? Czyste ubranie? Jakieś jedzenie? Co człowiekowi potrzebne jest w szpitalu? Może jakąś książkę, pigułki, domową kołdrę, nawilżane chusteczki? Po kolei brałem to wszystko do rąk, a potem odkładałem na miejsce.

Kiedy pierwsza fala paniki minęła i mniej więcej się opanowałem, w mojej głowie pojawił się wreszcie jakiś plan; należy po prostu pojechać, jak można najszybciej, niczego nie zabierając, lekarze potem sami powiedzą, co trzeba, zresztą wystarczy wziąć tylko pieniądze, w razie potrzeby wszystko można kupić. Obszukałem więc kieszenie, namacałem portfel, podbiegłem do półek z książkami, gdzie z grubego tomu *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* Gibbona wyciągnąłem nasze oszczędności na czarną godzinę – tysiąc osiemset dolarów i prawie tysiąc euro, wepchnąłem paczkę banknotów do wewnętrznej kieszeni marynarki, ze stolika w przedpokoju chwyciłem kluczyki od samochodu i w nerwowych podskokach zbiegłem z drugiego piętra. Uruchomiłem silnik i wyrwałem z miejsca tak, jakbym miał nie małą toyotę, ale szybki wóz sportowy. Na drodze przed domem był straszliwy korek, błyskały koguty, dlatego pojechałem inną trasą, przez Nową Dzielnicę i most, tak powinno być szybciej. Gnałem co sił. Z domu do szpitala dojechałem w sześć minut, chociaż do swego biura, które jest tuż obok (z okna toalety w pracy widać szpitalne budynki), zazwyczaj dostaję się cztery razy dłużej.

O czym myślałem po drodze? O niczym. Jakby w głowie kłębiło się od myśli, ale wszystkie one były bezładne, chaotyczne, absurdalne i niepotrzebne. W połowie drogi przypomniało mi się, że powinienem był wziąć jeszcze dowód osobisty Raluki – omal nie zawróciłem do domu. Przejeżdżając obok marketu budowlanego, przed mostem na Użu nagle pomyślałem, że nie kupiliśmy suszarki do ręczników do łazienki, stale się zbieraliśmy i zapominaliśmy. Miałem to zrobić ja, bo jeździłem samochodem i mogłem od razu przywieźć ten zakup do domu. Raluca po mieście najczęściej poruszała się pieszo czy marszrutkami, więc jej było nieporęczniej. Ona cały czas przypominała, a ja wciąż zapomniałem, tak jakby ta suszarka w ogóle nie była mi potrzebna. Albo jakbym miał jakieś ważniejsze sprawy. Już prawie przed szpitalem, skręcając koło „Ery”, przypomniałem sobie, że jeszcze w poprzednim tygodniu do oddziału Nowej Poczty przysłała do mnie przesyłka z zamówionymi książkami – trzeba będzie koniecznie je odebrać, bo naliczą karę. Parkując, spojrzałem na wskaźnik paliwa, czy wystarczy mi benzyny, gdybym miał jeszcze gdzieś pojechać. Dziwne, ale moja świadomość jakby odpychała paniczne, trwożne myśli, usiłując utrzymać myślenie racjonalne, ba, nawet zwykłe. Analityk, nieprawdaż.

Już przed szpitalem mimowolnie zerknąłem na swoje odbicie w wielkich oknach. Było ciemno, latarnie przygasiały, prawie nie dając światła, i tylko śnieg dawał odbłask cienkim nalotem lodu po ciepłym dniu. W pośpiechu zapomniałem nałożyć kurtkę, wybiegłem w koszuli i marynarce. Szklka okularów od razu zapotniały, a z ust szła para, grzywka przyklepiła się do czoła i strząsnąłem ją dłonią na bok. Pełna twarz człowieka, który za mało się rusza i za dużo patrzy w monitor, człowieka na swojej fali, któremu najwygodniej przebywać jest poza ludzkim tłumem. Ogólnie jednak byłem zadowolony ze swego wyglądu, dostatecznie solidnego, żeby

lekarze potraktowali mnie poważnie. Nawet wstyd, że w tej chwili myślałem o takich głupstwach, ale tak już urządzona jest ludzka świadomość, że jednocześnie w głowie roi się bezlik myśli – w szczególności nawet dorzecznych, ale przeważnie nie bardzo.

Dalej... Cóż, dalej z trudem przypominam sobie przebieg zdarzeń. Pamiętam, co się stało, ale kolejność jest chaotyczna. Oto wchodzę, pytają mnie, do kogo, ja mówię, że do żony, jak się nazywa? – oj, proszę wybaczyć, oczywiście, że nie wiecie, nazywa się Raluca, tak, takie dziwne i niepopularne rumuńskie imię. Raluca? – pyta pani, opuszcza wzrok na gruby zeszyt i przesuwając palcem z góry w dół, czytając listę, Raluca? – znowu pyta, takiej u nas nie ma, oj, proszę poczekać, mówi i błędnie, młoda dziewczyna, którą przywieźli godzinę temu? To pańska żona? – Tak, tak odpowiadam, całkiem już beztrosko, bo ulżyło mi na sercu, kiedy usłyszałem, że takiej u nich nie ma, a więc pomyłka, jakaś głupota, a ja dureń nawet nie pomyślałem, żeby samemu zadzwonić do Raluki, może, żywa i zdrowa, po prostu jeszcze siedzi na zajęciach ze studentami, natychmiast, błyskawicznie poprawił mi się nastrój, a piersi się rozszerzyły i znów mogłem normalnie oddychać, ale pani już do kogoś dzwoniła, tak, jest tutaj, przyjechał, mąż, stoi obok, dobrze, powiem. I już nie patrzy na mnie, wpatrzyła się w swój zeszyt i zaczęła kreślić tam ołówkiem. Niedługo potem wyszedł maleńki okrągłutki lekarz, trochę podobny do Karlssona, pulchny, o zaróżowionych policzkach, od razu wiadomo, że dobra dusza. Podszedł do mnie, czemuś wziął pod łokieć i powoli wymawiając słowa, powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale pańska żona zmarła z powodu odniesionych obrażeń na miejscu wypadku. Kiedy przyjechało pogotowie, mogliśmy tylko stwierdzić zgon. Wiem, co pan teraz czuje, ale proszę przejść tam, trzeba dopełnić pewnych formalności.

Dalej wszystko odbywało się nie ze mną, tylko z moim ciałem. Ono weszło do gabinetu, tam siedział policjant z papierami w rękach. Coś mówił, a ja patrzyłem na niego i lekarza, ale w ogóle nic nie rozumiałem, w głowie pulsowała mi myśl, że Raluca umarła, nogi mi zmiękły, i opadłem na krzesło, w gardle zaschło i nie było śliny, żeby przełknąć, piersi ścisnęło tak, że mogłem wciągnąć tylko jedną trzecią powietrza. A policjant dalej opowiadał, patrząc na lśniące noski swoich butów (jak one mogą być takie czyste w taką niepogodę, przemknęło mi przez głowę), potem zaprowadzili mnie, żebym obejrzał ciało Raluki, mnie tam nie było, po prostu moje ciało patrzyło na ciało Raluki, rozpląszczone i zimne, potem coś podpisywałem, a potem ten policjant odwiózł mnie do domu. Dotąd nie mogę wytłumaczyć sobie, co wtedy się stało, co do mnie mówili i co odpowiadałem.

Dopiero później przypomniałem sobie, że policjant pytał, czy jesteśmy małżeństwem, a ja, głupek, odpowiedziałem, że tak, jesteśmy, bo Raluca tak było łatwiej dostać pozwolenie na pobyt na Ukrainie, jest przecież obywatelką Rumunii. Więc to był fikcyjny ślub, nie mieszkaliście razem? – jego pytanie trochę przywróciło mnie do przytomności, jak nieoczekiwany policzek. Co ja plotę? Tak, to moja żona, którą bardzo kocham, jaki do diabła fikcyjny ślub? Przeprosił i coś zaznaczył w swoich papierach. Wtedy ja zapytałem, jak mnie znaleźli. Po prostu popatrzyli na ostatnie wybierane numery w jej telefonie. Mark, często dzwoniła na ten numer, dlatego uznaliśmy, że to jakaś bliska osoba. Boże, przemknęło mi przez głowę, a co by się stało, gdybym ja umarł, a oni oglądaliby mój spis połączeń? Ralukę mam zapisaną jako Cio-Cio-San, bohaterkę jej ulubionej opery. Tak ją nazywałem, tak do niej się zwracałem, choć imię Raluca bardzo mi się podobało.

Potem policjant (nawet nie pamiętam, jak wyglądał!) powiedział, że kierowca samochodu, który potracił Ralukę,

jest teraz na obserwacji na toksykologii, ale to raczej czysta formalność, bo i bez ekspertyzy jechało od niego alkoholem. „Gdzie to się stało?” – zapytałem. „Na «przejściu śmierci»” – odpowiedział glina i zaczął coś uszczegóławiać, ale dalsze informacje już mnie nie interesowały, bo chodziło o wątpliwą sławę przejście dla pieszych na ulicy Hruszewskiego, tuż koło wyjazdu z podwórza naszego budynku. Czego tam już nie wymyślali, ale nic nie działa: minimum jeden wypadek w miesiącu, ludzie już obchodzą to przejście bokiem. Czyli Raluca była prawie w domu, spieszyła się do mnie, kiedy uderzył w nią samochód...

Co będzie z kierowcą, zapytałem, a policjant uspokajająco odpowiedział, że czeka go surowa kara, bo śmiertelnie potrafił człowieka na przejściu dla pieszych, a w dodatku jechało od niego alkoholem. Ale to dosyć uprzejmy człowiek, było widać, że sam bardzo mocno to przeżywa, już ustaliliśmy jego personalia, jakby usprawiedliwiając się, mówił policjant, to miejscowy sędzia Mykoła Zinczenko, tak więc nigdzie nie ucieknie. I prosił, by przekazać, że pokryje koszty pogrzebu.

Ostatnie słowa tak mnie uderzyły, aż oprzytomniałem na chwilę ze swego otępienia. Pokryje wszystkie koszty, naczelnik! Nie trzeba mi żadnych kosztów, sam mogę zapłacić za pogrzeb swojej żony, zabójca niech gnije w piekle ze swymi krwawymi pieniędzmi! Lekarz zaczął mnie uspokajać, policjant wymamrotał coś potwierdzająco, a mnie się wreszcie otworzyły oczy, nagle poczułem się sam wśród obcych ludzi, a za ścianą leżała moja Raluca – martwa, skrzywdzona.

Następne wspomnienie – jestem już w domu, siedzę w ciemnym pokoju, trzymam głowę w dłoniach i kiwam się jak mużułmanin, długo, długo się kiwam, a potem piję z butelki absynt, który dostałem na urodziny, płaczę, idę pod prysznic, zmywam z siebie to wszystko, jestem pijany, krzyczę, wtedy dzwonię do mamy Raluki do Rumunii, słowa

mielą mi się w ustach, i ona nic nie rozumie, staram się mówić głośniej, zaczynam krzyczeć, wreszcie do niej dociera, płacz dochodzi również z tamtej strony słuchawki, rzucam telefon i piję absynt z gwinta, wlekę się do szuflady w kuchni, gdzie mam schowaną marihuanę, zapalam, żeby się uspokoić, wciągam w siebie gęsty dym, gardło wysycha – zapijam absyntem, palę i piję, telefon dzwoni, teraz to matka Raluki usiłuje się dodzwonić, ale wyłączam telefon i padam na łóżko, poduszka jest mokra od łez, podbródek lepki od absyntu, szlocham, ale już nie wiem, gdzie jestem i dlaczego, co jest dookoła, tylko mrok gęstnieje, nic nie widzę, ale słyszę głos, delikatny głos Raluki, ciepły głos mojej Cio-Cio-San. Pomścij mnie, mówi nie wiadomo skąd. Ktoś jest w pokoju, ktoś mówi do mnie. Podburza. Piję i nie mogę zasnąć, słucham. Raluca nie umarła, jest tutaj, siedzi u wezgłowia i cicho szepcze do mnie: pomścij mnie, zabij go...